

Maria Irena Biedermann – Kowalewska
pseudonim „Myszka”

WSPOMNIENIA Z OKRESU OKUPACJI (1939 – 1945)



W dniu rozpoczęcia II Wojny Światowej miałam ukończone 12 lat. Urodziłam się bowiem 12 sierpnia 1927 roku w Nakle nad Notecią. Jest to nieduże miasteczko na pograniczu Ziemi Krajeńskiej i Pomorza. Jednak praktycznie cała rodzina zarówno ze strony ojca jak i matki pochodzi z Wielkopolski, a większość związana jest z Poznaniem. W mieście tym bowiem kształcili się moi Rodzice, ojciec Teofil Biedermann został dentystą, a matka Zofia z d. Wrzyszczyńska ukończyła kierunek fortepianu w tamtejszym konserwatorium. Tam się poznali, zawarli związek małżeński i tam się rodziła moja najstarsza siostra Barbara. Urodziła się ona w Klinice Położniczej prowadzonej przez mojego wujka Prof. Bolesława Kowalskiego. W Poznaniu mieszkali również kuzyni mojej matki, Mieczysław Krzyżankiewicz, założyciel, a następnie wieloletni Dyrektor Targów Poznańskich oraz Bogdan Wrzyszczyński przedwojenny główny weterynarz oraz Dyrektor Rzeźni w Toruniu. Wspominam o moich wujkach, ponieważ byli mi bardzo bliscy i odegrali ważną rolę w moim życiu, w tym w okresie okupacji. W lutym 1933 roku rodzice przeprowadzili się do budującej się Gdyni. Tam też spędziłam dzieciństwo. Mój ojciec otworzył gabinet dentystyczny. Pacjentów miał dużo, bowiem Gdynia szybko się rozrastała i mieszkańców przybywało. Sporo pacjentów było ze Szwecji oraz Wolnego Miasta Gdańska. Znaczna ich liczba spowodowana

była również faktem, że jako jeden z pierwszych zakładał implanty. Matka jako znana tenisistka, po zakończeniu kariery sportowej razem ze swoją siostrą prowadziła sklep sportowy. Rodzice dbając o nasze wykształcenie zapisali nas do Prywatnego Gimnazjum i Liceum Żeńskiego Sióstr Urszulanek, gdzie ukończyłam 5 klas szkoły powszechnej. Naukę przerwał wybuch Drugiej Wojny Światowej. Doskonale pamiętam ostatnie przed wojną lato, szczególnie upały panujące w sierpniu i pierwszej połowie września 1939 roku. Często wspominam dzień 1 września 1939 roku. W tym dniu była piękna pogoda, bezchmurne niebo, gorąca letnia aura. Po latach muszę się przyznać, że ucieszyłam się z faktu, że nie potrzebowałam pójść do szkoły, i że mam przedłużone wakacje. Nigdy nie przypuszczałam, że wydarzenia tego pięknego dnia spowodują takie konsekwencje i będą miały tak istotny wpływ na przyszłość moją i mojej najbliższej rodziny. Z tego i następnych dni pamiętam dalekie odgłosy kanonady dochodzące do naszego mieszkania przy skwerze Kościuszki. Związane to było najprawdopodobniej z ostrzeliwaniem Oksywiu i Helu oraz możliwe, że z ostrzałem Westerplatte. 13 września wojsko polskie broniące Gdyni zmuszone zostało do wycofania się na Kępę Oksywską. O świcie 14 września oddziały niemieckie praktycznie bez walk ulicznych wkroczyły do centrum Gdyni. Pamiętam jak wjechali na motocyklach na Skwer Kościuszki. W następnych dniach wydarzenia nabierały tempa. Zmieniono nazwę miasta na Gdingen, a następnie po wizytacji Adolfa Hitlera około 20 września na Gotenhafen. Była to perfidna decyzja. Gotenhafen znaczy bowiem port Gotów. Chodziło w danym przypadku o wskazanie na brak tradycji polskich na tych ziemiach, których mieszkańcami, według hitlerowskiej propagandy, mieli być w przeszłości Goci, a nie Słowianie. Świętojańska ulica przy której mieszkaliśmy przemieniono na Adolf Hitler Strasse, sąsiednia 10 Lutego na Hermann Goring Strasse, a ulubione moje miejsce skwer Kościuszki na Adolf Hitler Platz. Adolf Hitler Strasse była strasznie długą ulicą, prowadziła bowiem od centrum Gdyni poprzez niedawną granicę Polski i Wolnego Miasta Gdańska, Sopot, aż do dworca Głównego w Gdańsku. Bardzo przeżyłam wiadomość o śmierci ojca mojej koleżanki ze szkoły Marysi Horyd. Marysia była moją najbliższą przyjaciółką, z którą przyjaźniłam się od pierwszej klasy szkoły powszechnej. Ojciec jej Zygmunt Horyd zginął w obronie Wybrzeża, w natarciu prowadząc tyralierę do ataku na bagnety. Natomiast odnośnie naszej rodziny, na początku nic się nie zmieniło. Ojciec w dalszym ciągu prowadził praktykę stomatologiczną. Pewnego dnia przyszedł do niego pacjent, były pracownik

fizyczny zatrudniony w porcie gdyńskim przy przeładunku i transporcie towarów, dawniej nazywany dokerem. Poinformował on mojego ojca, że natychmiast musi opuścić wraz z rodziną Gdynię, przewidziane są bowiem aresztowania wśród miejscowej inteligencji. Na pytanie dlaczego go o tym informuje odpowiedział, że był leczony przed wojną przez niego bezpłatnie, a mój ojciec stwierdził, że i tak odbije sobie na bogatszych pacjentach. Do końca życia ojciec opowiadał to jako przykład, że należy być dobrym dla ludzi, bo będzie to procentować w przyszłości. Ojciec o planowanych aresztowaniach powiadomił kilkoro swoich najbliższych znajomych m.in. doktora Wojciechowskiego znanego lekarza internistę. Wyjechaliśmy jeszcze tego samego wieczoru, zostawiając dorobek życia rodziców, ograniczając się do zabrania niezbędnych rzeczy, które mieściły się w jednej walizce. Opuściliśmy Gdynię i pociągiem dojechaliśmy do Bydgoszczy, gdzie zamieszkaliśmy przy ulicy Sienkiewicza 36 u siostry ojca Cecylii oraz jej męża Ignacego Konstanczak. Wujostwo przygarnęło nas do siebie i serdecznie się nami zajęli pomimo tego, że sami mieszkali w 3 pokojach, a mieli 8 dzieci. Łącznie z nami przebywało tam 15 osób. Ojciec po kilku dniach pojechał do Warszawy, ażeby zorganizować nam w miarę normalne życie. W międzyczasie w jednej z niedziel pojechaliśmy do niedalekiego Torunia, celem odwiedzenia wujostwa Wrzyszczyńskich. Wujek nie wrócił z kampanii wrześniowej. Po kapitulacji jak większość polskich oficerów został internowany i przebywał w Oflagu VII A w Murnau na terenie Bawarii. W tym obozie jenieckim był razem z dwoma swoimi braćmi, Stanisławem - przedwojennym znanym adwokatem, który był moim ojcem chrzestnym oraz najstarszym z braci Marianem, który z zawodu był nauczycielem. Ciekawostką jest, że bracia spotkali się w tym samym oflagu, pomimo tego, że każdy z nich walczył podczas kampanii wrześniowej na innych frontach. Ciotkę, w kilka dni po zajęciu Torunia, Niemcy eksmitowali z dużego mieszkania na terenie Rzeźni znajdującej się przy ulicy Targowej i przeprowadziła się do swojej siostry mieszkającej przy ul. Mickiewicza. Pamiętam, że ciotka narzekała, iż spora część jej znajomych wyparła się znajomości z nią i jej mężem. Chciałam spotkać się ze swoją koleżanką Aliną, córką znajomych wujostwa, którą poznałam przed wojną podczas pobytu w Toruniu. W Toruniu przed wojną byliśmy bowiem częstymi gośćmi podczas rozgrywanych zawodów tenisowych, w których z sukcesami uczestniczyła moja matka. Na moją prośbę o chęć spotkania z koleżanką ciotka powiedziała: słuchaj nie możesz się z nią spotkać. Rodzice zabronili jej spotykać się z polskimi

dziećmi i każą jej mówić jedynie po niemiecku. Do dzisiaj zastanawiam się jakie nowe imię nadali mojej koleżance jej rodzice. Bardzo przeżyłam ten wyjazd do Torunia, szczególnie, że miasto to wyglądało zupełnie inaczej niż jeszcze nie tak dawno przed wojną. Pełno było wywieszonych dużych czerwonych flag z białym kołem pośrodku, w którym znajdowała się czarnego koloru swastyka. W Bydgoszczy u wujostwa spędziliśmy kilka tygodni. W tym czasie dowiedzieliśmy się o aresztowaniach szeregu znajomych w Gdyni. Liczne aresztowania i publiczne egzekucje odbywały się również w Bydgoszczy. Ojciec wrócił po kilku tygodniach i zabrał nas do Warszawy. Wynajął mieszkanie przy ul. Oleandrów, bocznej od ul. Marszałkowskiej pomiędzy placem Zbawiciela, a placem Unii Lubelskiej, w jednym z najnowocześniejszych wybudowanych bezpośrednio przed wojną budynków. Mieszkanie było na tyle duże, że rodzice odstąpili jeden z 4 pokoi znajomemu z Gdyni dr Bandychowi z małżonką, która była w ciąży. Po kilku jednak miesiącach ponownie zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia kolejnego mieszkania. Niemcy bowiem eksmitowali wszystkich Polaków w tej okolicy, ażeby stworzyć dzielnicę zamieszkiwaną wyłącznie przez Niemców. Była ona bowiem niedaleko Alei Szucha gdzie mieściła się główna siedziba Gestapo. Następne schronienie znaleźliśmy w willi u państwa Lilpopow przy ulicy Rudawskiej, bocznej od ul. Filtrowej. Po kolejnych kilku miesiącach Niemcy zajęli tą willę i znowu zmuszeni byliśmy do kolejnej przeprowadzki. Ojciec wynajął wówczas mieszkanie przy ul. Marszałkowskiej, gdzie otworzył gabinet stomatologiczny. W mieszkaniu tym zamieszkaliśmy jesienią 1942 roku. Było to duże mieszkanie o doskonałej lokalizacji w centrum Warszawy. Z nowego mieszkania byliśmy bardzo zadowoleni i nie przypuszczałam, że niedługo spotykać nas zaczyną nieszczęścia, a mieszkanie to kojarzyć się będzie z najbardziej tragicznymi momentami mojego życia. 10 listopada 1942 roku, dzień przed Świętem Niepodległości moja matka Zofia została aresztowana i po przesłuchaniu, po krótkim pobycie na Pawiaku szczęśliwie została zwolniona do domu. W połowie stycznia 1943 roku w całej Warszawie rozpoczęły się masowe łapanki. W ciągu pierwszych 3 dni schwymano ok. 30 tysięcy ludzi. Pośród aresztowanych była m. in. moja siostra Urszula. Po przesłuchaniach i pobycie na Pawiaku została 17 stycznia 1943 roku razem z grupą około 1500 osób wywieziona do obozu koncentracyjnego w Majdanku. Dzięki jednej z pacjentek mojego ojca udało się ją po kilku miesiącach wykupić z obozu. Losy jej opisała współwięźniarka Danuta Brzosko-Medryk w książce „Niebo bez ptaków”. Po

przybyciu do Warszawy kontynuowałam naukę w szkole Świeżyńskiej-Słojewskiej przedwojennej szkole polsko-francuskiej, w której uczyłam się aż do wybuchu Powstania Warszawskiego. Szkołę prowadziła rodzina państwa Świeżyńskich. Z tego co pamiętam pani Świeżyńska wychowywała się w Turcji, a potem w Szwajcarii w pensjonacie dla dzieci w okolicach Neuchatel. Następnie przyjechała do Polski, wyszła za mąż i wraz z mężem otworzyła szkołę. Dyrektorem był Feliks Świeżyński. Z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że był on wspaniałym pedagogiem, w pełni oddanym szkole i uczącej się tam młodzieży. Szkoła ta przeznaczona była zarówno dla dziewcząt jak i dla chłopców. Mieściła się ona w oficynie kamienicy przy ulicy Marszałkowskiej niedaleko Placu Zbawiciela. Zgodnie z ówczesnymi rozporządzeniami władz niemieckich na terenie Generalnej Guberni uczniowie nie mogli chodzić do normalnego gimnazjum i liceum. Dlatego w szkołach obchodzono ten przepis tworząc szkoły zawodowe. Z tego co pamiętam chodziłam do szkoły handlowej. Uczyłam się między innymi maszynopisania, stenografii, liczenia na abakusie i innych prac biurowych. Oprócz tego miałyśmy dodatkowo wszystkie przedmioty przygotowujące do małej matury. Na zajęcia z wychowania fizycznego, przeważnie co dwa tygodnie, jeździliśmy na cały dzień do Świdra, gdzie znajdowała się posiadłość właścicieli naszej szkoły. W dużym ogrodzie miałyśmy zajęcia sprawnościowe, a w niedalekiej rzece Świder naukę pływania. Miałyśmy tam również zajęcia udzielania pierwszej pomocy. Na dużej werandzie domu spożywaliśmy przygotowywane tam przez nas posiłki. Wspominając szkołę muszę powiedzieć również o tym, jak spędzałyśmy czas na dużej przerwie. W tym samym budynku, od ulicy Marszałkowskiej mieściła się kawiarnia Cafe Edis. W kawiarni tej były między innymi wspaniałe drożdżówki, które kupowaliśmy w czasie przerwy i zjadaliśmy ze smakiem. W szkole zaprzyjaźniłam się z p. Wanda Wos, z którą działałam w konspiracji. Zaprzyjężone zostałyśmy w marcu 1943 roku przed ppor. Mieczysławem Szemelowskim ps. Miłosz. Otrzymałam pseudonim – Myszka. Jak ważnym był dla mnie nadany wówczas pseudonim świadczy fakt, że do tej pory wszyscy znajomi pomimo tego, że minęło już od tamtego czasu ponad 70 lat nazywają mnie Myszką. Ślubowanie odbyło się w okresie wielkiego postu bezpośrednio przed Wielkanocą. Kilka dni przed Wielkanocą Niemcy poprzez głośniki, nazywane popularnie szczekaczkami, powiadomili Polaków o zbrodniach sowieckich w Katyniu. Pamiętam doskonale słowa mojego ojca, który dowiedziawszy się o tym stwierdził, że jest bardzo zadowolony, iż będziemy

działać w konspiracji z ppor. Miłozem, ale żebyśmy działały ostrożnie i wytrwale, ponieważ walczyć będziemy musiały nie tylko z Niemcami, ale i z Sowietami. Działając w konspiracji nie wiedziałam w jakiej jestem organizacji. Później dowiedziałam się, że należałam do batalionu im. Brygadiera Czesława Mączyńskiego, wchodzącego w skład Narodowych Sił Zbrojnych. Dowódca batalionu był ppor. Florian Kuskowski ps. Szary. Mój szwagier Mietek Szemelowski po latach wspominał, że „Szary” zginął tragicznie w pierwszym dniu Powstania, zastrzelony podczas próby rozbicia żołnierzy niemieckich w Jeziornie. Do dziś pamiętam najważniejsze słowa przysięgi: przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży jej honoru i o wyzwolenie z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia. W zakresie moich obowiązków wchodziło szkolenie na sanitariuszkę i łączniczkę. Grupa dziewcząt uczyła się udzielania pierwszej pomocy rannym w tym zmiany opatrunków, wykonywania iniekcji domięśniowych i podskórnych, podstawowych zasad sterylizacji w tym sterylizacji igieł i strzykawek, zabiegów higienicznych itp. Nabyte umiejętności bardzo mi się przydały i wykorzystałam je podczas pomocy rannym jako sanitariuszka w Szpitalu polowym w gmachu Sądu na Lesznie podczas pierwszych dni Powstania Warszawskiego. Szkolenie łączniczek polegało na wpajaniu podstawowych zasad konspiracji w tym bezwzględności przestrzegania tajemnicy konspiracyjnej od czego w dużym stopniu zależało powodzenie i bezpieczeństwo poszczególnych ogniw organizacji. Łączniczki uczono zasady, wykonaj swoje zadanie, złóż meldunek, a potem zapomnij o ludziach a nawet o okolicznościach, żadnych notatek, żadnych zapisów. Szkolenia konspiracyjne odbywały się przeważnie w Warszawie w mieszkaniu moich Rodziców przy ul. Marszałkowskiej 74 m. 16. Była to z reguły mała grupa dziewcząt nie przekraczająca 4 – 5 osób. W zajęciach tych uczestniczyła również moja przyjaciółka Wanda Wos, po mężu Lorenc, która mieszka od kilkudziesięciu lat w USA, z którą spotkałam się po 60 latach podczas mojego uczestnictwa w uroczystościach 70. rocznicy Powstania Warszawskiego. Przez kilka dni i nocy wspominałyśmy wspólne przeżycia w okresie okupacji i życia w okresie powojennym. Wracając do moich wspomnień z okresu okupacji. 14 września 1943 roku, daty tej nigdy nie zapomnę, okazał się najtragicznym dniem w moim życiu. Rozpoczął się niby normalnie, dzień jak co dzień. Rano poszłam do szkoły. Po powrocie zjadłam obiad z mamą. Moja siostra Ula wyszła wcześniej przed moim powrotem do domu na randkę z Mietkiem Szemelowskim. Ojciec był jesz-

cze w pracy w gabinecie. Tego popołudnia miał odwiedzić nas narzeczony mojej drugiej siostry Barbary, Roman Litwin. Moja matka przygotowała wspaniałe przyjęcie z ulubionym tortem orzechowym na deser. Romek, który dostał rozkaz powrotu do Anglii, przyszedł po południu przynosząc mojej mamie piękny bukiet róż. Zasiadliśmy do stołu. Rozmowa przy doskonałym jedzeniu i nalewkach serwowanych przez mojego ojca toczyła się wartko. Mój ojciec jako znany żartowniś powiedział: Romek zabierz Basię ze sobą do Anglii. Zatrudnić się może jako tłumaczka. Moja siostra Barbara miała bowiem niebywałe zdolności do nauki języków obcych. Znała doskonale angielski i niemiecki. Zdolności te odziedziczyła prawdopodobnie po matce oraz po wujku Mieczysławie Krzyżankiewicz, który władał biegle 7 językami. Moja siostra Barbara zdała maturę w 1939 roku i rodzice planowali, ażeby podjęła studia językowe w Cambridge. Jednak wybuch wojny zniweczył te plany. Podczas dalszej rozmowy ojciec stwierdził, że lepiej będzie, jeśli Basia jednak zostanie na miejscu, że nie chciałby, aby wnuki były tak daleko od niego. Poza tym dlaczego miałyby żyć na tej małej wyspie skoro będą mogły żyć w Polsce od morza do morza. Ojciec prosił również, że jak Romek spotka się z królem, to ma go od niego pozdrowić. Romek stwierdził, że skoro Amerykanie przystąpili do wojny, to wkrótce zakończy się ona naszym zwycięstwem. Rozmowa przebiegała w miłej atmosferze. Żartom nie było końca. W pewnym momencie pukanie do drzwi wejściowych. Było już ciemno, ale na pewno nie było jeszcze godziny policyjnej. Ojciec powiedział, to Ula znowu zapomniała kluczy. Otworzył drzwi wejściowe. Do mieszkania wtargnęło kilku mężczyzn z okrzykiem Hande hoch. Następnie wszystkich nas powalono na ziemię. Skuto kajdankami mojego ojca, moją siostrę Barbarę oraz jej narzeczonego Romana Litwina, a następnie po około pół godzinie wyprowadzono. Ojciec wychodząc z mieszkania powiedział do mnie: zaopiekuj się mamą. Rewizji mieszkania nie przeprowadzono. Nie założono kotła. W ten sposób byłam świadkiem aresztowania mojego ojca, mojej siostry Barbary i jej narzeczonego Romana Litwina w naszym mieszkaniu przy ul. Marszałkowskiej 74 m.16. Romana Litwina znaleźliśmy jeszcze w okresie przedwojennym, kiedy mieszkaliśmy w Gdyni. Romek był absolwentem wydziału wychowania fizycznego na Uniwersytecie Poznańskim. Był niesamowicie sprawny fizycznie. Czynnym uprawiał narciarstwo, pływanie i sztuki walki. Po kampanii wrześniowej trafił ostatecznie do Anglii gdzie służył w wojsku polskim jako kierowca. Nic więc dziwnego, że szybko zwrócił na siebie uwagę przełożonych

i został zakwalifikowany do przeszkolenia w bazie cichociemnych. W nocy z 16 na 17 marca 1943 roku, jako kurier Delegatury Rządu na Kraj został zrzucony do Polski w ramach operacji lotniczej Attic. O jego losach, w tym o aresztowaniu jego, mojego ojca i mojej siostry pisze Jędrzej Tucholski w książce Spadochroniarze. Ojciec wraz z moją siostrą po przesłuchaniach przez Gestapo na Alei Szucha, a następnie Pawiaku zostali wywiezieni do Oświęcimia, gdzie ojciec zmarł 9 grudnia 1943 roku. Siostra moja przeżyła dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego i angielskiego. Pracowała w Efektenkamer - komórce obozowej zajmującej się ewidencjonowaniem wartościowych przedmiotów przywożonych przez Żydów, którzy bezpośrednio po przyjeździe byli mordowani w komorach gazowych. O mojej siostrze pisze Krystyna Żywulska w książce „Przeżyłam Oświęcim”. Roman Litwin został wywieziony do więzienia w Spandau, gdzie wszelki ślad o nim zaginął. Po aresztowaniu ojca w związku z brakiem środków do życia, zmuszone zostałyśmy do przeprowadzenia się do mniejszego mieszkania na Lesznie. Życie w okupowanej przez Niemców Warszawie to jeden ciąg tragedii. Na Lesznie byłam świadkiem rozstrzelania więźniów, zakładników przywiezionych z Pawiaka. Widziałam również powieszonych mężczyzn na balkonach. Częste łapanki ludzi, których następnie wywożono na przymusowe roboty do Niemiec. Najbardziej w mojej pamięci pozostaje widok wychodzącego z wjazdu uciekającego z getta małego chłopca, który został zauważony przez żandarma niemieckiego, wyciągnięty z wjazdu, a następnie chwycony za nogi został roztrzaskany o mur domu. Miało to miejsce na Krakowskim Przedmieściu blisko Placu Zamkowego. Po tych wszystkich tragediach, które przeżyłam, wybuch Powstania Warszawskiego był jednym z najszcześniejszych dni w moim życiu. Założenie na ramie biało-czerwonej opaski, widok flag o barwach narodowych, to przeżycia trudne do opisanie. Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie nie zostałam zawiadomiona o miejscu zbiórki. Nie mając kontaktu z moim dowództwem, zgłosiłam się wraz z moją siostrą Urszulą do szpitala polowego utworzonego na Lesznie w gmachu sądu. Praca była bardzo ciężka i niebezpieczna. Brakowało praktycznie wszystkiego, zarówno środków opatrunkowych, podstawowych lekarstw, żywności. Gdy padła Wola, do szpitala wtargnęli żołnierze w mundurach niemieckich, zabijając większość ciężko rannych, których nie zdążono ewakuować na Stare Miasto. Po kapitulacji Woli byłam transportowana do Pruszkowa. Moim zdaniem można to nazwać marszem śmierci. Widziałam jak wielu mężczyzn było wyciąganych z kolumny i na moich oczach ich rozstrze-

lano. W pewnym momencie potknęłam się i upadłam na tłące się szczątki ludzkie. Udało mi się uciec z transportu z Pruszkowa i dzięki temu uniknęłam wywiezienia do Oświęcimia lub innego obozu na terenie Niemiec. Nocą dotarłam do Milanówka, gdzie znalazłam schronienie u mojego wujka Mieczysława Krzyżankiewicza. Pobyt w Milanówku kojarzy mi się z 2 wydarzeniami. Pierwsze to, że nocami obserwowałam łuny płonącej Warszawy. Drugim był ślub mojej siostry Urszuli, którą po Powstaniu odnalazł ppor. Miłosz Mieczysław Szemelowski i poślubił ją w kościele pod wezwaniem Świętej Jadwigi. W czasie drugiej wojny światowej plebania tego kościoła była tymczasowym miejscem urzędowania warszawskiej kurii metropolitalnej, a w okresie Powstania Warszawskiego przechowywano na niej urnę z sercem Fryderyka Chopina. Bezpośrednio po zawarciu związku małżeńskiego, nowożeńcy musieli uciekać bocznym wejściem, ponieważ pojawił się patrol niemiecki. Para Młoda udała się w „podróż poślubną” do Lasów Chojnowskich, ażeby kontynuować walkę z Niemcami. Mieczysław Szemelowski był dowódcą jednego z 3 plutonów. Dowódca drugiego plutonu był Tadeusz Wyszyński ps. Grey, przyrodni brat przyszłego Prymasa. Gdy w Milanówku zaprzestano poszukiwań uciekinierów z Warszawy, wyjechałam do Radomia do przyjaciół moich Rodziców państwa Gorskich, ażeby kontynuować przerwana naukę. Córka gospodarzy Anna studiowała medycynę w grupie razem z moim przyszłym mężem Zygmuntem Kowalewskim, którego jednak poznałam dopiero po wojnie w Toruniu, kiedy był adiunktem na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Zakładzie Neurofizjologii i Fizjologii Porównawczej. Jak mały jest świat świadczyć może również fakt, że mój przyszły mąż zdawał egzamin z ginekologii i położnictwa u mojego wujka Bolesława Kowalskiego. W Radomiu zdałam małą maturę i doczekałam się zakończenia II Wojny Światowej. Szczególnie w mojej pamięci zapadł styczeń 1945 roku. W tym czasie chwycił silny mróz. W połowie stycznia przybliżyły się odgłosy dział. Świsty oraz wybuchy pocisków. Noc poprzedzającą wyzwolenie spędziliśmy w piwnicy. Było tam o tyle bezpiecznie, że nie groziły nam wybuchy przypadkowych pocisków. Poza tym pilnowaliśmy przed kradzieżą nasze skarby tj. około tony węgla, kilka kubików drewna i kilka worków kartofli. Radom oddany został przez Niemców praktycznie bez walki. W odróżnieniu od Warszawy miasto zostało ocalone, a zniszczenia były niewielkie, głównie spowodowane przez ostrzał artylerii rosyjskiej dokonanej w poprzednich dniach. Sowietci wkroczyli praktycznie na plecach wycofujących się wojsk niemieckich. Większość

żołnierzy niemieckich uciekła z miasta, a do miasta wkroczyła piechota i czołgi. Znaczna część żołnierzy było pijanych, zachowywali się głośno, grali na harmoszkach. Sporo słyszało się o dokonywanych przez nich gwałtach na miejscowych kobietach. Widziałam również kolumny jeńców niemieckich, którzy byli bici i wygłodzeni. Muszę się przyznać, że pomimo okropności wojny i doznanych przez Niemców krzywd, robiło mi się ich żal. Z Radomia powróciłam do opuszczonej w 1939 roku Gdyni, gdzie podjęłam dalszą naukę w Liceum. Maturę zdałam w 1946 roku. Następnie podjęłam studia na UMK w Toruniu, które ukończyłam uzyskując tytuł magistra biologii 14 stycznia 1952 roku. Miałam niebywałe szczęście, bowiem większość Profesorów, którzy mnie uczyli to wielcy naukowcy, a nade wszystko wspaniali ludzie, byli profesorowie Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W 1951 roku zawarłam związek małżeński z Zygmuntem Kowalewskim lekarzem neurologiem. Mam jedno dziecko, syna Witolda – również lekarza, neurochirurga. Aż do przejścia na emeryturę pracowałam w służbie zdrowia organizując i kierując pracownikami Diagnostyki Laboratoryjnej na terenie Torunia. Ostatnim miejscem zatrudnienia była stworzona przeze mnie pierwsza w regionie pracownia bakteriologiczna i mikologiczna przy szpitalu Obserwacyjno-Zakaźnym. W 1987 roku otrzymałam odznakę zasłużony dla Torunia. W 2010 roku odwołałam. Obecnie jestem członkiem Światowego Związku Armii Krajowej, członkiem Korpusu Weteranów Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej. Działam również w Stowarzyszeniu Absolwentów UMK, będąc w jego zarządzie.

Dobiegając kresu mego życia muszę stwierdzić, że pomimo różnych nieszczęść, które mnie spotkały uważam moje życie za udane i spełnione. Miałam udane, długoletnie pożycie małżeńskie, ciekawą pracę. Mam syna, kochaną synową Ewunię, wnuka Krzysztofa, rodzinę w tym kolejne pokolenia, które mieszkają w Gdyni, liczne grono znajomych i przyjaciół, którzy nie zapomnieli o mnie po śmierci mojego męża. W sercu mam 3 miasta, Gdynię gdzie przeżyłam cudowne lata mego dzieciństwa, Warszawę gdzie kształtowała się moja osobowość i sprawdzony patriotyzm oraz ukochany Toruń, który umożliwił mi uzyskanie życiowej stabilizacji i osobistego szczęścia, będą zawsze w mej pamięci. Należy tylko powiedzieć, dzięki ci Panie.

Irena Bruk

WSPOMNIENIA MAŁEJ IRENKI

Dzień 24 sierpnia 1939 roku był dla mnie jako dziecka nie do zrozumienia. Właśnie tego dnia mój ojciec musiał ubrać mundur i udać się na dworzec, ponieważ ogłoszono mobilizację. Tłumy ludzi z pobliskich okolic żegnały na dworcu swoich bliskich i znajomych. Była wielka rozpacz, po policzkach płynęły łzy niepewności, lęku, strachu a jednocześnie grała orkiestra. Pociąg ruszał powoli, niektórzy nie chcieli się rozstać i jechali stojąc na stopniach pociągu. Ja żegnałam ojca z dziadkiem. Mama została w domu, ponieważ tata zakazał mamie odprowadzenie go na dworzec. Od 1 września 1939 roku mając ukończone 6 lat nie mogłam sobie wyobrazić jak wygląda szkoła i myślałam tylko o dobrej przygodzie. Wtedy zaczęły się schody nie do pokonania w moim dziecięcym życiu. Rodzina nasza rozproszona była po świecie. Ja z mamą i siostrą pozostałyśmy bez opieki ojcowskiej. Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem, wzorowym mężem i ojcem a zarazem patriotą. Matkę nachodzili w domu Niemcy i namawiali do podpisania grupy. Obiecywali, że jak mama podpisze dokument, to wtedy wszyscy pojedziemy do ojca i tam będziemy razem mieć dobre warunki życiowe. Ojciec zakazał matce matce cokolwiek podpisywać i powiedział, że sam będzie tam cierpieć.

W kwietniu 1942 roku dzieci, które ukończyły 10-ty rok życia były zabierane i wywożone do prac rolnych na majątkach. My byłyśmy na początku listy, za nieposłuszeństwo naszej mamy, która odmówiła podpisania grupy. W tym momencie rozpoczął się nasz koszmar i rozpacz spowodowany oderwaniem od matki oraz strach i niepewność co będzie dalej. W tym dniu przewieziono nas samochodem ciężarowym wypełnionym po brzegi dziećmi z okolicy na majątek polski, zarządzany przez Niemca do miejscowości Steklinek w odległości 15 km